

„Głos Narodu“ Ilustrowany.



Orkiestra Gimnazjum św. Jacka. »Marsz Dąbrowskiego«.

(Specjalne zdjęcie dla „Ilustracji Polskiej“).

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z 12 październ. 1901 r.

„HEJ RAMIĘ DO RAMIENIA!”

Formuj się — w lewo front — w pochód! — Kapela na czele zaczyna grać doskonałego marsza, a za nią długi wąż chłopców w mundurkach podąża za rogatki miejskie, zaczerpnąć pełną piersią powietrza i nabrać sił do jutrzejszej pracy:

Ćwiczenie wojskowe młodzieży szkolnej w parku dra Jordana — tak się nazywa ta, *sit venia verbo* — instytucja o głębokiej treści. Pochód uczniów z kapelą, to strona zewnętrzna — zbadajmy treść, sięgnijmy do źródeł.

Idąc za przykładem innych państw, poczęły nasze władze centralne zwracać baczną uwagę na fizyczny rozwój młodzieży i już w latach osmdziesiątych budowano na dziedzińcach szkolnych przyrządy gimnastyczne, na których młodzież wyprostowywała podczas pauz stężale w ławach członki. Pauzy jednak — to zbyt krótki, na minuty obliczony okres czasu, więc ministerium

oświaty, postępując dalej, rozesało okólnik, wzywając profesorów do stawiania wniosków w tym kierunku. Były narady, konferencje, wnioski — ostatecznie przeszedł w Krakowie wniosek prof. Czesława Pieniążka, który brzmiał: zostawcie wybór zabawy samej młodzieży. Zostawiono i oczekiwano wyniku. Po niedługim upływie czasu okazało się, że uczniom



Prof. Czesław Pieniążek.

najlepiej podobała się mustru. Wybierali chwilowych poruczników i zaczęli na ciasnych dziedzińcach szkolnych odbywać pochody i zwroty.

Za ciasno im jednak było. Panie profesoro — zwrócił się jeden z uczniów do prof. Pieniążka — ciasno nam tu, czy moglibyśmy wyjść za miasto? Zgodził się na to profesor i pewnego pięknego dnia wymaszerował z chłopcami za mury miejskie.

Początek więc był dany — a władze szkolne krajowe i miejscowe, udzielając opieki, czuwały bacznie nad ćwiczeniami.

Zaprowadzone za JE. ministra Madejskiego i wiceprez. Rady szkol. kraj. Bobrzyńskiego, mundurki nie mało się przyczyniły do rozwoju tej idei.

Długo leżała ta sprawa umundurowania młodzieży w rozmaitych biurach na rozmaitych biurkach, aż wreszcie się ucieleśniła.

Mieszkańcy Krakowa przypomną sobie zapewne, że kilkanaście lat temu błyszczały na głowach uczniów granatowe krakuski, obszyte białym bakiem. Była to myśl prof. Pieniążka. Czapki jednak niedługo istniały i rzecz zginęła w pomroce dziejowej, ale myśl raz rzucona nie zniknęła i dziś mamy mundurki — mimo całych lawin zarzutów. Wyrabianie w młodzieży serwilizmu, zarzucano — słowa, puste dźwięki. Ów *esprit de corps*, który wyrabiają w młodzieży angielskiej kluby, a w niemieckiej knajpa, ów *esprit de corps* — u nas

wyrabia się mundurkiem. Dawniejsze różnice w ubraniu, wyradzające zawiść i nienawiść — dziś znacznie osłabły, bo mundur, choć wytarty na łokciach i świecący na plecach, zawsze jest mundurem jednakim dla wszystkich. Ubranie wytarte upokarza czasem — wytarty mundur nigdy. Należy także pamiętać, że ze względu na tę możliwość »wytarcia« znacznie tańszym jest mundur od ubrania cywilnego. Przedewszystkiem jednak wyrabia to zewnętrzne zrównanie — koleżeńskość.

Oto razu pewnego użyczyła wojskowość starych szanów na Krzemionkach na ćwiczenia dla młodzieży. Przy zdobywaniu (naturalnie bez bójki), zabrał oddział broniący okopów czapkę jednego z armii atakującej i uniósł ją w tryumfie. Po ćwiczeniach, gdy chwilowy wódz wezwał chłopców do wnoszenia zażaleń, zdarzyło się, że w jednym z oddziałów stał chłopczyk z V klasy, mały, garbaty i płakał.

— Dlaczego płaczesz? — pyta go stojący obok uczeń VI klasy, wysoki wzrostem, bogaty M. K.

— Czapkę mi zabrali przy zdobywaniu szanca.

— To idź po nią, zgłoś się u wodza.

— Kiedy się wstydzę wyjść na środek, bom mały i garbaty.

Nie mówiąc nic, zdejmuje M. K. czapkę własną, wkłada ją na głowę młodszego kolegi i zgłasza przed wodzem brak własnej czapki...

Ten *esprit de corps* został wywołany poczuciem wspólności, wywołany przez wspólny mundur.

Po zaprowadzeniu mundurków, zorganizował prof. Kanenberg z dyrektorem p. T. Skibą w gimnazjum św. Jacka kapelę studencką. Sprawiono instrumenty, w znaczniejszej części drogą składek grona profesorów, w części zaś płynęły na to fundusze z darów zamożniejszych rodziców uczniów i ze składek studentów. Rząd przytem zajął zupełnie neutralne stanowisko — nie dał nic. Lekcyi udziela podoficer od muzyki wojskowej, a chłopcy pod jego kierunkiem grają wprost doskonałe, a zajęci muzyką, nie marnują po kawiarniach sił i zdrowia, w godzinach wolnych od nauki. Za przykładem gimnazjum św. Jacka poszły i inne szkoły średnie w Krakowie, tak, że obecnie już trzy gimnazyja mają swą muzykę, a szkoła realna prócz istniejącej orkiestry smyczkowej, także kapelę własną organizuje.

I warto widzieć, z jaką radością i ochotą młodzież do muzyki tej się garnie i jak ochoczo przy dźwiękach jej maszeruje na wojskowe ćwiczenia za miasto.

Ćwiczenia wojskowe — nazwa ta padła jak granat — młodzież organizuje rewolucję, gwałt — zaniepokoiła się nawet dyplomacya.

Bez przyczyny.

Oto Henio X. nie słucha przy lekcyi swego kolegi korepetytora. Na drugi dzień wybierają kolejdy Henia kapralem — korepetytor zaś pozostał nadal szeregowcem.

Podczas świczeń komenderował Henio korepetytorem, wykręcał go na wszystkie boki, prostował, pierś mu naprzód wystawiać kazał — aż się



Orkiestra Gimnazjum św. Jacka.

(Specjalne zdjęcie dla „Instrucyi Polskiej”).

pocił biedny korepetytor. Nadszedł profesor, a widząc co się dzieje, struchlał i w myśli szukał już innego nauczyciela dla Henia. Jakżeż się jednak zdziwił, gdy przyszedłszy do domu, zastał chłopców przy lekcji, podczas której Henio pokornie słuchał — korepetytor zaś wykładał.

— Heniu, cóż się to stało — pyta profesor — siedzisz przy lekcji spokojnie?

— On mnie słucha na mistrze, panie profesorze, bom jego przełożonym, tu role się zmieniają, więc ja mu winien jestem posłuszeństwo...

Albo jeszcze jeden przykład.

Podczas pochodu za miastem, zapalił jeden z uczniów z IV. klasy gimn. papierosa. Zobaczył to profesor szkoły realnej, zbliżył się i zgromił go.

— Przecież to za miastem, panie profesorze...

— Wszystko jedno... jesteś w szeregu... palić nie wolno.

Zamilkł na takie *dictum* uczeń, a po chwili podczas przerwy w ćwiczeniu zbliżył się do profesora i prosił go, żeby o tem nie wspominał...

— Profesorowi jego?

— ...Broń Boże... — jego porucznikowi — nie temu, którego z natury rzeczy się obawia, lecz chłopcu, którego sam wybrał swym przełożonym.

Cóż znaczą te przykłady z życia wzięte? O, one znaczą dużo, ogromnie dużo — one znaczą, że w młodzieży naszej wyrabia się karność i solidarność, te dźwignie w zdrowym społeczeństwie — karność, której brak nam Polakom, tak boleśnie odczuć się dawał. Tyś mój przełożony z w-y-b-o-r-u, a więc dlatego właśnie cię słucham. Gdyby ten jeden tylko objaw istniał — już dla niego samego, należałoby instytucję tę popierać.

A w końcu, gdy się rozwinię ów długi wąż uczniów w pochodzie, owe zastępy chłopców, o rozradowanych twarzach i wyprężonych piersiach, wówczas myśl odbiega w przeszłość, ku czasom szkoły w Krzemieńcu, ku owym wycieczkom, majówkom, a wesołym zabawom, tyle-

koć opisywanym i takie się to wydaje nasze, kochane, że aż się dusza raduje na widok tych przyszlých dzielnych obywateli kraju i wołać się chce: hej ramię do ramienia — wspólnemi łańcuchy opaszmy ziemskie kolisko!

Dr. K. S.

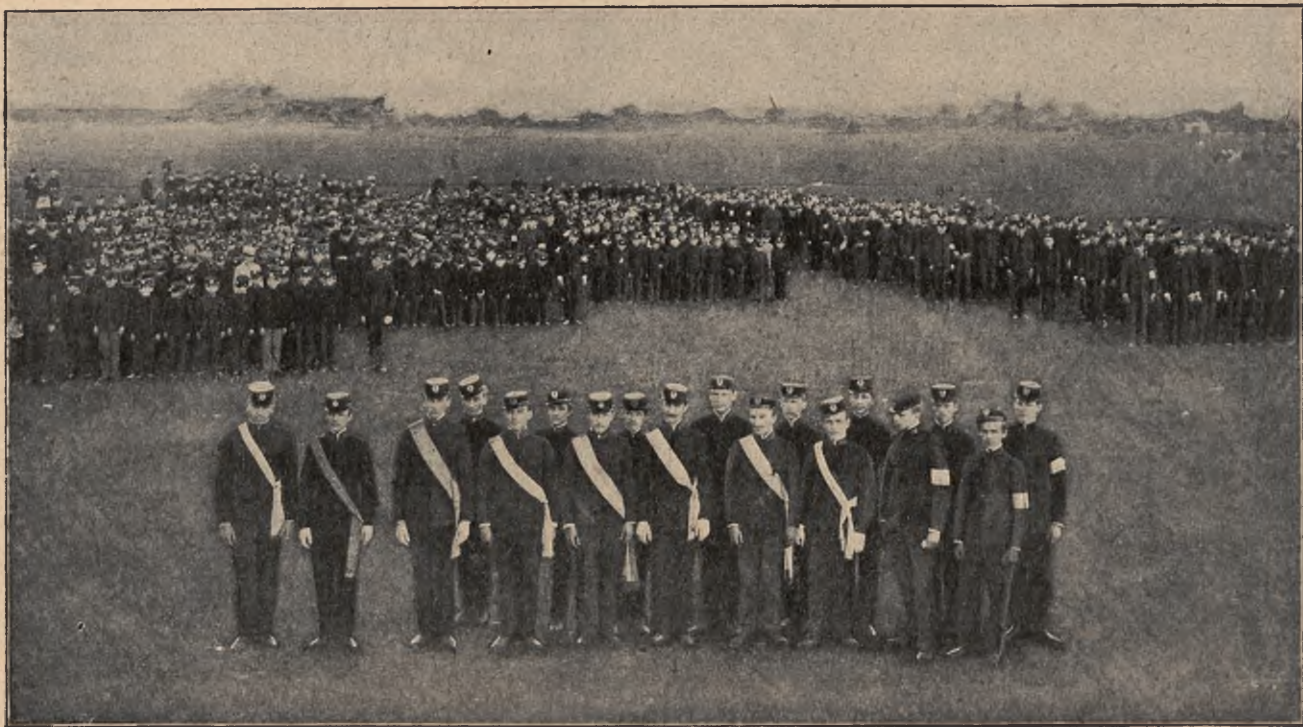
Nowe poezye.

»Młoda Polska« żyje, działa, rozwija się...

Frazes dziennikarski przyzwyczaił szeroką publiczność do wtłaczania młodej naszej poezyi, całej młodej sztuki w szablon szkolarski, na którym świeci etykieta sanitarna: dekadentyzm, a nad nią trupia główka.

Rzeczywistość tymczasem okazuje, że młode pokolenie — to... pokolenie całe, dla którego jeśli koniecznie szukać wspólnego mianownika, znajdziemy go jedynie w zasadzie indywidualizmu. Zasada zaś ta ma naturalne swe źródła w górującym obecnie powszechnie subiektywizmie. Pozytywizm ze swoją dążnością niwelatorską, swą logiką zimną, racjonalistyczną, swemi powszechnie obowiązującymi prawami, swą treścią naturalistyczną, odbijającą prawie wyłącznie świat zewnętrzny, w konsekwencji uszczuplał życie duchowe poety, czynił je więcej obiektywnem i na zewnątrz wyłanem. Młode pokolenie idzie w głąb swego ja — żyje życiem indywidualnem, świat zewnętrzny stapia z najistotniejszymi sokami własnej duszy — i w ten sposób powstaje poezya bogatsza, bujniejsza, szersza, niż dawniej.

Poezya nasza na tej nowej drodze znajduje się dopiero niedawno. Nic też dziwnego, że daleko jej do harmonii, do syntezy. Jednakowoż nie ulega wątpliwości, że tylko na tej drodze — zlania się



Młodzież Gimnazyów i Szkoły Realnej Krakowskiej na Błoniach z pułkownikami swymi na czele.

(Specyalne zdjęcie dla „Ilustracji Polskiej“).

doskonałego dwóch światów — synteza jest możliwa, i że do niej pokolenie dojdzie...

A tymczasem — bez tej syntezy tęskno duszy i burzliwie i obco... Każdy czuje — jak śpiewa Tetmajer*) — że

Zło dopełnia już miary. . Trwogi zimne dreszcze
Przenikają do szpiku ludzkości całą...
Pod ziemią słychać grzmoty wulkanów złowieszcze,
Ziemia drży, niebo chmur się zakrywa nawałą...

Niepokój to święty, niepokój czasu całego, którego bóle, zwątpienia, rozpacz, nawet bluźnierstwa są cenniejsze, wyższe dla postępu ludzkości mają znaczenie, niż syty, zadowolony z siebie spokój opasłego filistra, owego typowego pozytywisty w rodzaju Maxa Nordaua, dla którego nie istnieją żadne zagadki, żadne otchłanie, żadne tajemnice. Tetmajer ów niepokój czasu wchłonął z całą intensywnością, do jakiej namiętna jego natura jest zdolna, a poezje jego społeczne — zebrane właśnie w »Hasłach« — przypominają wrzenie wulkanu. Rozważając w dzień noworoczny zło panujące, które »dopełnia już miary«, wybucha okrzykiem:

Pędź rumaku zniszczenia z grzmiącymi podkowami!
Dniu pierwszy! obyś ty był zwiastunem przewrotu!...

Podobny niepokój targa poetą, gdy rozważa nastroj i siły własnego społeczeństwa. W dzień sprowadzenia zwłok Adama Mickiewicza robi on obrachunek sumienia generacji swojej i woła z rozpaczą:

Nie patrz prochu — zstąp w ciemne sklepienie,
Bo w twoim wzroku palącym zabłyśnie

*) Kazimierz Przerwa-Tetmajer: Hasła. Kraków, nakł. księgarńi D. E. Friedleina.

Orla, co gardzi płazem, srogi gniew!
Nie patrz, bo zmiążdży nas twoje spojrzenie,
Bo ono w twarz nam zapytanie ciśnie:
»Czy w żyłach waszych jeszcze tętni krew?!«

I tak przemawia poeta gromowemi słowy, w których czuć całą młodość z jej bezmiarem tęsknot, wzlotów i pragnień. Młode są bowiem zebrane w tym tomie utwory Tetmajera, młode w najpiękniejszym — z »Ody« — znaczeniu słowa, a na zewnątrz zaznaczają się one datami przeszło dziesięciolecia: 1888—1901. W ciągu tego czasu duch poety przebył ogromną skalę ewolucji: od pierwotnego, studenckiego entuzjazmu, jaki bije z Wiersza ku uczczeniu pamięci Adama do znanych z ostatnich czasów Hymnów do Nirwany — zasadniczy jego motyw pozostał niezmienny. Jest nim niezmożone pragnienie szczęścia — szczęścia siły, potęgi, zbawienia... Tylko w zestawieniu z tą olbrzymią mocą pragnień poety można, jako reakcję, rozumieć Hymny do Nirwany i narkotyzującą rozkosz, a także ostatnią próbę wskrzeszenia dramatu bohaterskiego w Zawiszy. I jakkolwiek nuta jego społeczna za mało jest indywidualną i przynosi melodye dobrze już znane, zawsze jednak działa orzeźwiająco, gdy woła:

...Jest więc orla kraina — rozwińmy tylko skrzydła!

Dość długo z naszych harf szły pieśni i piosenki,
Zerwijmy z nich te struny o smętnych tonach precz!
Precz melodyjne brzmienia! Precz kołysane dźwięki!
Niech leci z ust nam głos, jak płomień i jak miecz!

Jako odrębna indywidualność poetycka zazna-
czył się w literaturze od pierwszego występu Jerzy
Żuławski. Możemy obserwować jej rysy chara-
kterystyczne od pierwszych tonów w wydanym



Kazimierz Tetmajer.

(Specjalne zdjęcie w Zakopanem dla „Instrucji Polskiej“).



Lucyan Rydel.

(Rysunek Stanisława Wyspiańskiego).



Jerzy Żuławski.

(Rysunek Stanisława Wyspiańskiego).

obecnie zbiorze*), zawierającym »wybór« z tomików »Na strunach duszy i Intermezzo; szkoda, że wydaniem obecnym nie zostały też objęte anonimowo swego czasu wydane Stance o pieśni.

Żuławski jest antytezą Tetmajera. Gdy u ostatniego uderza przede wszystkim mimozowata wrażliwość, dar bezpośredniego odczuwania, to Żuławski jest czystej wody »mózgowcem«. Każdy poryw serca przechodzi u niego do retorty mózgowej i przemienia się w refleksję. Zna autor tę swoją siłę i nawet w apostrofie do dziewczyny woła:

Nie mnie kochaj, dziewczyno, lecz myśl kochaj we mnie!

Myśli moje ty kochaj! Nie zgryzie ich burza!
Chociaż starcem już będę, to myśl moja dzielna
Stanie twojej miłości za Anioła Stróża...

A myśl to poważna, często głęboka, choć w obecnym wyborze, jako pochodzącym z lat najwcześniejszej twórczości — nie wolna jeszcze tu i ówdzie od popolitości i naśladownictwa. Lubo szybuje nad najwyższymi szczytami ludzkości — rzadko

*) Jerzy Żuławski: Poezye. Wydanie nowe, wybrane i poprawne, z portretem autora rysunku St. Wyspiańskiego. Kraków, nakładem księg. D. E. Friedleina.

spotyka tam odbłaski słoneczne; los to wszystkich ofiar myśli, która zbyt jest krytyczna, by mogła darzyć szczęściem niezmaconem. Buntuje się też poeta przeciw tej duszy swojej duszy, miota się często i bluźni najwierniejszej swojej kochance:

Ha, myśliciele! Wy walić umiecie!
Prawdy, co wczoraj niewzruszone były,
Dziś się w bezkształtne rozpadają bryły!
Jutro wieść o nich już zaginie w świecie...

Rozpaczliwych takich reakcyj przeciw najgłębszej własnej istocie w Żuławskim więcej, a przecie... a przecie:

Ciemno było koło mnie; w jakąś toń bezdenną
Zapadałem, — a w górze ponad toni brzegiem
Stała mara będąca błękitem i śniegiem,
Z krzyżem w ręku i z twarzą anielską a senną.

Coraz ciemniej i zimniej i głucho koło mnie,
Pusto, nicość a rozpacz! Wtem drgnąłem ogromnie (!)
Ktoś mię zbawia! Ktoś kładzie w głos zwątpienia protest!

Z jednej skały wykuty, olbrzymi i święty
Mędrzec kończy pieśń jakąś jak pacierz zaczęty:
— *Sine Deo nil esse nec concipi potest!*

To wizya Spinozy.

W niego wpatrzony, Żuławski nie zawsze wyrazami czystej modli się sztuki — jak bodaj ostatni wiersz wskazuje, — wogólności jednak jest u nas jednym z wybitniejszych a rzadkich przedstawicieli tej odrębnej poezji, którą w istocie swojej jest metafizyka.

Wobec czysto refleksyjnego usposobienia utworów Żuławskiego, uderzają poezje Lucyana Rydla*), przedewszystkiem wirtuozostwem formy.

»W każdym ślizgałem się rymie«, może o sobie powiedzieć poeta, a żaden wiersz mu nie »stwardniał« — musimy dodać od siebie. Zbiór obecny obejmuje tom poezyj, przed dwoma laty wydany w Warszawie, oraz »Część II«, nową, pisaną do narzeczonej, obecnie »mojej żonie« poświęconą. Indywidualność poety charakteryzuje się we wszystkich tych utworach głównie bogactwem i poprawnością formy. Poeta maluje pejzażestron rodzimych i »Mitologie« czystym duchem greckim, oraz



Leopold Staff.

pewną tęsknotą nowoczesną owiane; pisze tekst do preludjów Chopina i płacze w dzień zaduszny; kąpie się w słońcu idylli wiejskiej i wspinałami tercynami opiewa apostołów »wieczór paschy« — a wszędzie towarzyszy mu tensam kunszt wytworny, tensam wiersz gładki, dźwięczny, wpatrzony w piętno zewnętrzne niezmacony spokój. Aż nas ten nadmiar pięknośtek znieczula i mamy ochotę zawołać: za dużo kwiatów! przemów raz »poprostu a z krzykiem«, wstrząśnij, wzburz, okaż serce i chwyć za serce...

Zółte listki brzoź
Dygocą, dygocą,
Bo je dzisiaj nocą
Zwarzył siwy mróz.

I padają z drzew,
Jak ulewa zgoła,
Po ziemi je młota
Wiatru zimny wiew.

Źle tym liściom, źle,
Co zleciały z drzewa,
Wicher je rozwiewa
Na deszczu, we mgle.

Lecą z ostrym tchem
W zawieję okrutną —
Jak tym liściom smutno,
Ja najlepiej wiem...

wierszyk śliczny, ale... wierszyk.

Wspaniałe są w swej plastyce sonety mitologiczne, przepiękną »Bajka o Kasi i Królewiczu«, piękne są wszystkie bez wyjątku drukowane tu utwory, świadczą o wysokiej kulturze umysłowej, o smaku estetycznym, brak im tylko — żywiło-wego, głębszego uczucia.

*) Lucyan Rydel. Poezje. Z rysunkami St. Wyspiańskiego. Kraków, nakładem księg. D. E. Friedleina.

Tosamo da się powiedzieć o wieńcu poezji, uplecionym dla narzeczonej. Uzbierał dla niego poeta kłosa i kwiaty z niw i łąk bronowickich, ale jeszcze więcej z książek, z literatury. Obok wierszy szczyrych i prostych, jak model poety, mamy mnóstwo — czysto salonowych, przypominających sztuczne sielanki XVIII. wieku. Uderza Rydel w ton ludowy, prosto na wsi podsluchany, a równocześnie pieści się sobą i swem szczęściem, ciągle je analizuje, akcentuje, sugeruje, podchwytuje, stylizuje.

Jeden żąda od swej żony
Herbowej korony;
Drugi sobie żony szuka,
Gdzie w głowie nauka;
Inny musi wziąć przy żonie
Pieniądze w skarbonie.

Ty nie gorsza od szlachcianek,
Masz herb — świeży wianek,
Bez nauki wiesz, co cnota
I serca prostota;
Umiesz kochać wiernie, szczerze
I mówić pacierze.

Z tobą ja w posagu biorę
Pracę i pokorę;
Wniesiesz mi królewskie wiano:
Duszę nieskałaną,
Twój majątek — skarb dobroci
Życie mi ozłoci.

Daj Boże!

Podkreślić jeszcze należy śliczne wydanie książki przez księgarnię Friedleina. Rysunki — kwiaty Wyspiańskiego — to ozdoba królewska...

I jeszcze jeden tam wiersz — jeszcze jeden młody, najmłodszy Leopold Staff*). Niepodobny zgola do tych, którzy dotychczas przed nami predeflowali, ani wpatrzony wyłącznie w swę refleksyę, ani wirtuoz formy, ani miotający się w pogoni za widmem szczęścia nerwowiec. Otwieramy pierwszą stronę:

KOWAL.

Całą bezkształtną masę kruszców drogocennych,
Które zaległy piersi mej głąb nieodgadłą,
Jak wulkan z mych otchłani wyrzucam bezdennych
I ciskam ją na twarde stalowe kowadło.

Grzmotem młota w nią walę w radosnej otusze,
Bo mi wykonać trzeba dzieło wielkie, pilne,
Bo z tych kruszców dla siebie serce wykuć muszę,
Serce hartowne, mężne, serce dumne, silne!

Lecz gdy ulegniesz, serce, pod młota żelazem,
Gdy pęknie, przeciw ciosom stali nieodporne —
W pył cię rozbiją dłoni mej gromy potworne!

Bo lepiej giń zmiażdżone cyklopowym razem,
Niżbyś żyć miało własną słabością przeklętą,
Rysą chorej niemocy skażone, pęknięte.

Rzeźwość, moc, wielka koncepcja życia i wielkie zadania artystyczne biją z utworów Staffa, mącą się chwilami fermentacją młodej duszy, opierają się czasem zanadto o Tetmajera, aby ostatecznie wyzwolone, tryumfalne, podążać naprzód, wzwyż... Oby — *ad astra!* Zoil.

*) Leopold Staff: »Sny o potędze«. Warszawa, Gebethner i Wolf.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Z PAMIĘTNIKA PANNY HALI — JEJ „PA“ I „MA“

(Olgę dalszy).

(4)

Później.

Zrobiliśmy z mamą kilka wizyt pożegnalnych. Wszędzie się tak dziwno, że jedziemy do Włoch, winszowano tak serdecznie, życzone przyjemnej i wesołej podróży.

Nie mnie brać na serdeczność — wiem dobrze, jak nam zazdroszcza...

»Ma« tłumaczyła, że jeszcze dwa lata temu, podczas choroby, złożyła ślub, że na podziękowanie za wyzdrowienie — odbędzie pielgrzymkę do Rzymu i innych miejsc cudownych.

Ciekawam, poco to tłumaczenie?

Jedziemy do Włoch, bo nam się tak podoba, bo mamy na to i koniec! Niech nam zazdroszcza, ja to strasznie lubię... Wstąpiłyśmy do Hersego. Nie, nic nam nie potrzeba, ale ja tak strasznie lubię oglądać materyały... Takie chłodne te jedwabie i takie miękkie, że ile razy zanurzę w nich ręce, to mnie przejmuje dziwny, rozkoszny dreszcz... A przytem u Hersego można zawsze zobaczyć jakiś nowy fason, który już z opowiadania zrobi nam nasza krawcowa, a czasem zdarza się tanio kupić jaką resztkę...

Jutro rano, o szóstej, odprawi u Karmelitów ksiądz Jan mszę na intencję szczęśliwej podróży!

Pójdziemy wszyscy, a »Ma« prosiła na nie i znajomych bliższych i niektórych lokatorów. — Wątpię czy przyjdą, chyba lokatorzy — żeby potem nie zapłacić! Gdyby to mnie tak prosili — nie poszłabym! A jakże, życzyć szczęśliwej drogi innym, a samej siedzieć w domu.

Ogromnie się spracowałam.

Przyszła Nacia z Ceską, żeby się raz jeszcze ze mną pożegnać, więc nagadałyśmy się, zjadłszy pudełko czekoladek i... i... pokazałam im wszystkie, jakie zabieram, suknie. Nie chciały oglądać, bo już były zapakowane — pokazałam umyślnie...

Niechaj się zezłoszcza.

Ucałowaliśmy się na rozstanie serdecznie, ale czułam, że mnie nienawidzą.

Mała strata, krótki żal.

Wieczorem.

»Ma« i »Pa« dopisują się w moim dzienniczku!!! Co?...

Także awantura!

Zaraz opowiem jak to było.

»Pa« nie przyszedł na kolację. Siedzieliśmy sami. P. Henryk trochę się zirytował... ale naprawdę bo kotlety były tak odgrzane, że zimne poprostu we środku... Ciocia poszła wykrzyzczać Rozalę, a myśmy przeszli do saloniku. Ledwem Żdzisia wyprawiała spać, bo upierał się smarkacz siedzieć z nami... Nieznośny chłopak! Przy kolacji,

nadeptywał mi na nogę tak mocno... że myślałam... i, chociaż rumieniłam się, ale oddałam leciuchno... a ten łobuz w śmiech! Kiedy on to mógł widzieć?... Nie wiem czy raz tak było... a i to wypadkiem, przy gościach, bo ciasno było przy stole...

Naprawdę, ale takich dużych chłopaków nie powinno być w domach, gdzie są dorosłe panny i bywają młodzi ludzie...

Otóż siedliśmy przy moim biurczku, pod oknem. Przymknęłam drzwi do jadalnego, żeby »Ma« nie przeszkadzać, bo odbierała bieliznę od praczki.

P. Henryk mnie prosił, abym pamiętała o nim w podróży, żebym często, codziennie pisywała do niego...

Nigdy w życiu jeszcze nie pisałam do żadnego mężczyzny! A i do p. Henryka ani razu, no, bo nie wypada, a potem, przecież widujemy się codziennie; ciekawam, czy ja potrafię ułożyć list do niego?

O czym się pisuje do narzeczonego? —

Muszę nie zapomnieć zabrać ze sobą pudełka z papierem — a mam śliczny, liliowy ze złotymi monogramami.

P. Henryk dał mi go na imieniny — nie używałam go jeszcze, bo mi szkoda! Ciocia powiedziała, że powinien mi być wtedy dać coś z biżuterii, ale »Ma« twierdziła, że to jeszcze nie wypadło, bo wtedy nie byłam jego narzeczoną.

Ale ciekawam, co mi da teraz na imieniny?

Już mu nieraz napomykałam delikatnie, iż ogromnie lubię brylanty i szafry...

Bo, tak mówiąc na prawdę, to już te kwiaty, książki, nuty i cukierki sprzykrzyły mi się... mam ich potąd... a szczególnie kwiaty i książki. To dobre ale dla pensyonarek i podlotków!

Chwała Bogu, że wyrosłam już z krótkich sukienek i sentymentalizmów.

I dobrze wiem, co mi się teraz należy.

Otóż p. Henryk tak prosił o pamięć, tak prosił... aż się żardinierka przewróciła i wszystkie kwiaty buch na dywan!

Wpadł »Pa« i...

Musiał widzieć, bo... bo staliśmy tak blisko przy sobie... Wcale nie widziałam, jak »Pa« przyszedł.

P. Henryk tłumaczył, że ja mu czytałam swój pamiętnik i przez to żardinierka się przewróciła.

Taki był niezręczny, taką miał zabawną minę, że nie mogłam się powstrzymać od śmiechu!

Bo żeby się tak... naiwnie tłumaczyć, to trzeba być... narzeczoną!

— Aha! Psiakość nóżki baranie! Lepiej żebyście to po ślubie sobie przeczytali — byłoby zdrowiej i taniej, bo za ten wazon z palmą ja sam gotowem pieniędzmi zapłaciłem piętnaście rubli. —

Ale się gniewał! Chodził długo po pokoju, przystawał, patrzył, jak p. Henryk zbierał skorupy, a potem stanął przedemną i powiada:

— Pamiętnik! Ty Hala piszesz pamiętnik?

— Tak »Pa«, piszę pamiętnik! szepnęłam, bo »Pa« miał taką minę, że płakać mi się chciało.

— Rozumiem, takie tam ptaszki, kanarki. Mój Boże! Jestem nieszczęśliwa! Pójdę na bal, byłam na balu. Krawcowa zepsuła mi suknię, bzy już kwitną w botanicznym, chciałabym umrzeć, pójść do klasztoru albo iść za męż — takie tam panieńskie fiu będzie, faramuszki, psiakość nóżki baranie... Zaczął się śmiać, a ja się tak rozgniewałam, że chciałam iść do »Ma«. Nie puścił mnie, posadził na krześle i powiada:

— Pokaż, coś tam nabazgrała.

— O, co to, to nie! Nigdy w życiu!

I nie pokazałam! »Pa« się gniewał, ale nie pokazałam — jeszcze czego...

— Wszystko mi jedno. Nie pokażesz, dobrze, ale i ja i matka będziemy się dopisywali!

— Ale nie w moim kajeciku!

— Właśnie że w twoim, bo i radca Moliński pisze razem z córkami.

— Ale »Pa« nie zajrzy, nie będzie czytał tego co napisałam. Da »Pa« na to zaraz, przy p. Henryku, obywatelskie słowo honoru?

Dał uroczyste słowo honoru.

Wierzę, ale wołę karty zapisane pozlepiać brzegami, to jeszcze pewniejsze, bo »strzeżonego Pan Bóg strzeże« — jak mówi ciocia.

Ale »Pa« nie chciał powiedzieć, skąd mu się wzięła ta chęć pisania.

Wiem, że pisać nie lubi, bo przecież meldunki ja prowadzę za niego.

— Z czasem się dowiecie, a może dopiero dzieci wasze, albo dzieci dzieci... albo i tam dalej... powiedział, pocałował mnie w czoło i zaraz kazał przynieść kajecik.

Oho, znowu był w resursie, bo tak buchnęło od niego piwo...

Zlepiłam brzegi, zaraz odniosę.

To już jutro w południe.

Jak mi serce bije...

Cicho Stokrotki, nie piszczie — jutro już jędziemy, bo już jutro o tej godzinie będziemy daleko za górami... za morzami... e, chyba tak daleko jeszcze nie. —

Ale ten »Pa«, żeby myśleć, że ja mogę pisać takie dzieciństwa!

Ale to tak zawsze, ojcowie i mężowie przesiadają tylko po knajpach, zajmują się interesami i nigdy nie mają czasu poznać swoich żon i córek...

Umyślnie tej karty nie zakleję, niech »Pa« przeczyta. —

Dopisek »Pa«.

Warszawa, dnia 25 Marca 1899 roku, o godzinie 10 minut 12 $\frac{1}{2}$ wieczorem, w domu przy ulicy Leszno pod Nr. 18/2174, policyjny cyrkuł III — Mostowski.

Zaczynam w Imię Boże.

Muszę się skupić, żeby nie zgubić ani jednego szczegółu, bo, jak mówi Radca Malinowski, wszystko jest ważne dla potomności.

Zaczęło się to w Resursie, przy preferku, tanim, złotówka za sto, bo to psiakość nóżki baranie, ciężkie czasy, podatki, policjacy, kanalizacya, wodociągi i inne głupie wymysły.

— Janie Gwalbercie — rzekł radca Malinowski podnosząc brwi aż na łysinę i patrząc z nadokularów.

— Jestem, zaraz wychodzę.

— Janie Gwalbercie, nim wyjdiesz w ostatniego atu, powiem ci: oto świat idzie na psy, albo... pokaż no, nóżki na stół —

Wyszedłem.

— Jutro może już nie nasze. Mówię ci, będziesz leżał bez dwóch —

Nie nowina. Psiakość nóżki baranie, zawsze mam pecha.

— Janie Gwalbercie, słuchaj...

Słuchałem, ale żarło mnie, bo kiery miałem słabe i czułem już »legendę«

— Kładę atu — oddaj swoją; raz jeszcze daję — niemasz! dawaj skórę, a teraz w kiery — co, nie lubisz? Wiemy coś o tem. Jeszcze raz w to samo — To ci dobrze zrobi — A teraz dama! Tak, zapomniałem o damie i położyłem się bez dwóch, co zsumowawszy razem, wyniosło pięć rubli z kopiejkami.

Zapłaciłem, ale z temi kierami to tam nie było zupełnie fein. Wziął mnie pod rękę i poszliśmy do bufetu.

— Przegryziemy co?

— I owszem.

Wódeczka, śledzik, bułeczka z kawiozem. Drugi raz stuknęliśmy się, kawaleczek pulardy w majonezie, grzybki, żdziebko pates des Fors Gras — niczegowate! Oplątek szynki, okruszynę kulebiaki, mały porter na finis i radca rzekł:

— Janie Gwalbercie, a możebyśmy co zjedli?

— I owszem radco!

Wprawdzie tam Matka będzie trochę trajkotać, ale nie zwykłem odmówić koledze, radcy i takiemu wpływowemu człowiekowi! Trzeba umieć utrzymać honor domu.

Siedliśmy w kąciku. Garson podał radcy menu. Przeglądał długo, marszczył brwi, namyślał się. Rozumiem, przecież to chwila, w której żołądek mówi surowo: uważaj!

— Janie Gwalbercie, a gdyby tak raki!

— Dobrze, to ma kolor.

— Sos Bordeles —

— I owszem, to jakby z kawalkiem wiosny!

— A dla rozpamiętywania, tak kartofelki Soté...

— Ślicznie, ja kocham przyrodę, kocham wieś!

— A potem jaką ptaszynę...

— Żywioty wszelkie chwałę Pana!

— A na aleluja gaiczek pomarańczowy, podlany strumykiem białego Goa!

— Wyplacalny.

Radca odetchnął i powiada:

— Janie Gwalbercie jedziesz do Włoch?

— Tak. — Ciekawym kto mu powiedział.

— Piękny wojaż, ale co mówisz, gdybyśmy sobie teraz tak zajrzeli nad Ren!...

— Gotowy, ale Johannisberger z roku 1864 — młodszy zestrasy raki.

ALBUM NOWEGO SEJMU

SERYA II.



Eksc. Dr. Leonard Piętak
(demokrata).



Dr. Filip Fruchtman
adwokat
Stryj (demokrata).



Hr. Wojciech Dzeduszycki
(konserv. z partyi podolskiej).



**Ks. Kan. dziekan
Wilczkiewicz** (kons.)



Oktaw Sala
(kons.)



Stanisław hr. Stadnicki
(kons.)



St. Moysa Rosochacki
(kons.)



Michał Huza
o. k. notaryusz
Grybow (demokrata).



Fr. Kramarczyk
Osiek
(partya chłopska).



Ks. Teodor Bohaczewski
proboszcz w Lecówce, p. Różniatów
(rusin narod.)



Dr. Eugeniusz Oleśnicki
adw. krajowy
Stryj (rusin radykał).

W niniejszym numerze kontynuujemy druk albumu, obejmującego wszystkich posłów nowego sejmu. Album to wyjdzie niebawem w formie ozdobnej książki; zawierającej prócz portretów dane biograficzne. Prosimy p. t. posłów o łask. nadesłanie nam krótkich notatek biograficznych.

Teatr ludowy w Krakowie.

Gdy smutnej pamięci Miquel zapragnął wzniesić w Poznańskiem »twierdzę germańską« i germanizacyi, postanowił wybudować w Poznaniu — muzeum. Gdy kuratorye trzeźwości w Rosyi i władze rosyjskie zabrały się do spełnienia swoich celów — powołały do życia cały szereg teatrów ludowych. A u nas w Krakowie zaczyna się dopiero dyskusya: czy teatr ludowy w Krakowie jest potrzebny!

Ba — powiadają niektórzy — nie kwestyonujemy użyteczności takiej instytucyi, chociaż... hm... na dwoje babka wróżyła... Kwestyonujemy tylko możliwość. Czy Kraków ma dość sił, by prowadzić taki teatr? A przede wszystkim — czy nie zaszkodzi on teatrowi miejskiemu — przedsiębiorstwu p. Kotarbińskiego?

I w tem cały błąd rozumowania, cała słabość nasza, korzeń złego, trapiącego najpiękniejsze nasze zamysły i cele. Nie, takiej logiki nie uznajemy. Jeśli teatr ludowy jest potrzebny — jest on w danych warunkach także możliwy.

Kto w miesiącach letnich był w »budzie« pod Kapucynami, kto widział owe tysiące krakowian, z których ani dziesiąta część w innym teatrze nie bywała, a które z chciwością, z ogniem, z entuzjazmem chwytaly płynące ze sceny słowa przysięgi Kościuszki, zapalne wykrzyki Kilińskiego, pieśń Adama z »Gwiazdy Syberyi«, — kto sobie uprzytomni, ile z tych słów przemieniło się w apel, tętniący w duszy starych, w sny i marzenia młodych, w krew i siew przyszłości, — ten musiał ideą teatru ludowego być porwany, ten nie wahał się ani chwili w wydaniu sądu: teatr ludowy jest konieczny, założenie i prowadzenie go jest jednym z pierwszych obowiązków społeczeństwa, powinno ono też wszech sił dokładać, niejedną ofiarę ponieść, by instytucya tak pięknie zainicywowana — żyła i kwitła!

Rzeczy jednakowoż tak się ułożyły, że ofiar ze strony społeczeństwa nikt nie żąda. P. Zawadzki, inicjator i kierownik teatru ludowego, nie apeluje do ofiarności niczyjej. Zwraca się do Rady m. Krakowa ze skromną prośbą o wydzierżawienie mu na ten cel lokalu — ujeżdżalni miejskiej i oferuje czynsz wyższy, niż płacił dzierżawca dotychczasowy, oferuje gminie za oświetlenie gazowe dochód, jakiego dotychczas nie miała. Osoba prywatna chce uwolnić gminę od ciężącego na niej obowiązku, bo w normalnych warunkach powinno miasto zrobić to, co gdzieindziej »kuratoryum trzeźwości«! — chce prowadzić dzieło przez wszystkich uznane za doniosłe i użyteczne, chce dopłacać — — i stoimy jeszcze przed pytaniem, wątpliwością, obawą: czy rada miejska na to się zgodzi...

Ha, wzgląd na p. Kotarbińskiego...

Motyw ten, doprawdy, trudno traktować poważnie. Mózg prawidłowo myślący rozumowałby inaczej. Rozumowałby, że teatr ludowy powinien być przez teatr miejski subwencjonowany, otaczany przezeń najwyższą zyczliwością i czynną opieką, gdyż wychowuje mu publiczność i artystów. Tak się rzeczy mają faktycznie, a inne dziedziny życia dostarczają na to tysiące dowodów. Przekonano się na Zachodzie, że uni-

wersytety ludowe podnoszą ilość czytających książki, że koncerty popularne podnoszą i uszlachetniają zamiłowanie do dobrej muzyki, że tylko w odpowiedniej atmosferze duchowej wyrastają potrzeby i środki duchowe. Z pośród owych dwudziestu kilku tysięcy widzów, którzy gromadzili się w teatrze ludowym p. Zawadzkiego, trzy piąte — śmiało można powiedzieć — nie uczęszcza obecnie i nie uczęszczałoby zgoła do teatru miejskiego, bo poprostu nie znają drogi do niego, czułyby się tam nie na swoim miejscu, krępowane, zażenowane, bo ostatecznie teatr miejski nie ma wcale miejsc po 10 ct., które gromadziły najwięcej widzów; jedna piąta tej publiczności musi sobie odmawiać uczęszczania do teatru miejskiego z powodu stosunkowo wysokiej ceny, szczególnie dla rodzin całych, a nie chce sobie odmawiać teatru w ogólności; ta zaś garść publiczności, która czasem zawaha się między teatrem miejskim a ludowym jest tak znikomo szczupłą, że z pewnością zostanie przeważoną przez owe masy szerokie, przez tłumy całe, które zachęcone, rozgrzane, podniesione estetycznie przez teatr ludowy, potem uczują potrzebę częstszych, lepszych, podnioslejszych widowisk artystycznych.

Teatr ludowy, to nieodzowny stopień do miejskiego, wykształci, przysporzy masy publiczności, a — co nie jest do pogardzenia — da możność rozwoju niejednemu młodemu talentowi scenicznemu.

Prawda — nie stanie się to natychmiast, na poczekanie. Jak każda praca pedagogiczna, tak i ta wymaga pewnego, w danym wypadku — niedługiego czasu. Ale czy p. dyr. Kotarbiński tak się czuje niepewnym na swem stanowisku dyrektorskiem, iż gotów je osierocić — i nie może czekać kilka miesięcy na naturalny przyrost widzów i sum kasowych? Czy rada miejska, która powinna przecie patrzeć w przyszłość, także chce prowadzić gospodarkę z dnia na dzień?

Nie znamy memoriału, wniesionego przez dyrekcję teatru w tej sprawie do rady miasta, to jednak wiemy, że dyrekcya obecna powinna być w swoich żądaniach skromną. System jej rządów jest już tak dalece oszczędnościowym, oszczędność na składzie personalu teatralnego tak fatalnie się już odbiła, że p. Kotarbiński od miasta żadnych więcej ofiar żądać nie może. Wobec terażniejszej sytuacji teatralnej — o pójściu w głąb, o czystym artyzmie na deskach sceny naszej, mowy nie ma; niechże p. Kotarbiński pozwoli sztuce przynajmniej rozlewać się wszcz, na masy ludowe, na te warstwy publiczności, do której o n nigdy nie trafi.

Mamy nadzieję, że rada miejska motywy te uzna i podanie p. Knake-Zawadzkiego o wydzierżawienie ujeżdżalni miejskiej załatwi przychylnie. Jestto minimum działalności dla sztuki ludowej, którego można od reprezentacji miejskiej żądać. Nie żądamy, aby miasto nasze — jak to czynią inne zagranicą — otwierało od czasu do czasu podwoje »świątyni sztuki« dla ludu bezpłatnie; nie wołamy o subwencye, ulgi etc. — choć i na to czas już najwyższy. Chcemy poprostu uniknąć skandalu, którym byłoby zabicie przez radę miejską istniejącego już i kwitnącego teatru ludowego — i oby do tego nie przyszło.

Wystawa ogrodnicza w Wiedniu w ogrodzie księcia Schwarzenberga.

DZIAŁ POLSKI.

(Ilustracje w numerze następnym.)

Po raz pierwszy podobno Galicya bierze udział w konkursie ogrodniczym krajów monarchii austriackiej i wychodzi z popisu nietylko nie ostatnia, lecz nawet w pewnym stopniu tryumfująca. Stoi prawie na trzecim miejscu po Styryi i Morawach, a to chyba dla tak zwanego przez Niemców *Bärenlandu* bardzo wiele. Urządzona staraniem radcy dworu Struszkiewicza i inspektora ogrodnictwa krajowego w Krakowie p. Golińskiego, przedstawia się ładnie i bogato, chociaż skąpiono dla niej miejsca, nie przypuszczano bowiem, aby mogła zaprezentować się tak świetnie. Owoce jej, szczególnie jabłka i gruszki, jakkolwiek nie tak olbrzymie i barwne, jak tyrolskie, styryjskie, morawskie i włoskie, są w gatunkach wytworne, w smaku doskonałe. Zachowały woń, soczystość i słodycz przyniesioną z swej pierwotnej ojczyzny, Francji. Gdyby produkcja galicyjska była obfitszą, mogłaby niewątpliwie stać się niebezpieczną współzawodniczką dla hodowli, zasilających dzisiaj targi wiedeńskie.

Wystawa polska rozpada się na pięć stref klimatycznych, dbjętych dwiema głównymi częściami Galicyi (zachodnią i wschodnią), bratnio tu z sobą połączonemi. Owoce i warzywa zachodnie, wypielęgowane w klimacie umiarkowańszym i na widocznie właściwszym dla siebie gruncie, wyglądają wspanialej, wschodnie jednak świadczą także bardzo dodatnio o kulturze, której istnienie swoje i obecność w ogrodzie księcia Schwarzenberga zawdzięczają. Konserwy (zwłaszcza jarzyny suszone) walczą o lepsze z najpyszniejszymi i w najucywilizowańszy sposób przyrządzonemi konserwami zagranicznymi. Pewna dama, Angielka, zwiedzając razem ze mną ekspozycję, zwróciła uwagę całego otoczenia na groszek zielony. Pomimo kulinarnie wymaganej twardości, zachował on (bez farbowania sztucznego, praktykowanego w Anglii i Francji) prześliczny kolor seledynowo-szmaragdowy, zalecając się przytem smakiem przedziwnym. Zapewniała mnie, że rywalizować może z najwybredniejszymi w tym rodzaju preparatami amerykańskimi. O ile mi się zdaje (bo katalogu jak białego kruka napróżno szukałem), pochodzi z Lubyczy Królewskiej, która wystawiła również nader umiejętnie wykonane konserwy podgotowane w wodzie i pomieszczone w słojach. Do nich należą olbrzymie szparagi, oraz inne warzywa, cenione wielce przez jaroszków.

W dziale szkółek krzewów i drzew dzikich i szczepionych bardzo wybitne miejsce zajmują roczne i dwuletnie sadzonki z ogrodu Freggego w Krakowie. Jak wiadomo ogrodem tym zawiaduje i kieruje utalentowana niegdyś artystka dramatyczna (Anna Kałużyńska), obecnie wdowa po wysoce cenionym ogrodniku. Rezultaty jego długoletniej pracy, wiedzy specjalnej i zabiegów, uwieńczone zostały teraz na wystawie wiedeńskiej kilku najwyższymi nagrodami. Na wyjątkowe wyróżnienie zasługują również sadzonki i szczepy Juliana barona Brunickiego z Podhorzec. W popisie między-krajowym wybijają się one na plan pierwszy. Nie wątpię, że dzięki swej rzeczywistej wartości, tudzież cennikom i katalogom reklamowym (drukowanym udatnie w Stryju i hojnie rozdawanym), przysporzą właścicielowi odbiorców nawet w okolicach i miejscowościach, słynących z sadów, par-

ków i ogrodów, umiejętniej, pilniej i z większym niż w Galicyi nakładem prowadzonych. Do najpiękniejszych szczegółów wystawy należy ekspozycja »Towarzystwa ogrodników zawodowych«, zestawiona przez p. Kazimierza Piątkowskiego ze Lwowa. Lwów zresztą sam przez się reprezentowany jest dostatnio i obficie we wszystkich zakresach cieplarnianego i gruntowego, kwiatowego i drzewnego ogrodnictwa przez stare i znane zaszczytnie firmy: pani Mozerowej, panów: Starcka, Klimowicza, Piotrowskiego, hr. Mycielskiego i wielu innych. Współzawodniczy z nimi szczęśliwie wystawa »Towarzystwa ogrodniczego« z Tarnowa, urządzona przez dyrektora Maciaszka.

Wszystko to, co wyżej uzupełnione jest odpowiednio i właściwie: fotografiami plantacji miejskich w Krakowie, planami parku dla dzieci doktora Henryka Jordana, oraz wielce interesującą wystawą dra St. Golińskiego. Dr. Goliński wystawił: 49 tablic do nauki ogrodnictwa, plany ogrodów szkolnych powiatu krakowskiego, statystykę drzew owocowych powiatu krakowskiego. Dekoracja stołów, a raczej tekturowych obrusów je przykrywających, namalowana przez Stanisława Wyspiańskiego według wzorów sztuki włoskiej (z haftów, odzieży, sprzętów i mebli chłopów polskich i ruskich), nadaje działowi polskiemu fizyonomię typową, odrębną, ciekawą, zwracającą na siebie oczy cudzoziemców. Widziałem estetyków, wielce surowych w ocenianiu wszystkiego co nowe i obce, zachwycających się motywami sztuki naszego ludu. Były im one zupełnie nieznane. Dodam jeszcze... że wystawa w sprawie Schwarzenbergowskiego parku, położonego w jednej z najwspanialszych dzielnic Wiednia, pod dobroczynnymi blaskami pogodnego jesienno-słońca, uczęszczana tłumnie przez piękne arystokratki i ponętne mieszczyki stolicy naddunajskiej, zaszczycona odwiedzinami cesarza Franciszka Józefa i wielu dostojnych osób, wydaje się cała — razem wzięta — podobną do ogromnego bukietu z barw, promieni i uśmiechów.

Nie-Ogrodnik.

W ostatniej chwili nadesłano nam katalog, z którego wyjmujemy ważniejszych wystawców:

Miasto Kraków. Bolesław Malecki, inspektor ogrodów miejskich. Towarzystwo ogrodnicze w Krakowie.

Pow. Krakowski. a) Szkoła rolnicza w Czernichowie. (Dyrektor Sikorski, zarządzający ogrodem: Różycka).

b) Dopełniający kurs ogrodniczy w szkole ludowej w Dąbiu. (Kierownik St. Szarek).

c) Wola Justowska (ogrodnik Więckowski).

d) Napoleon Kotnowski z Kaczorówki.

e) Kapitan Kukła z Prądnika Czerwonego.

f) Zbiorowa wystawa warzyw z okolic Krakowa, zestawiona przez Halma i Hajdzińskiego.

g) Zbiorowa wystawa owoców. (Raciborowice, Wola Justowska, Bolechowice, Zabierzów, Kocmyrzów, Branice, Rybna, Morawica, Dojazdów, Zakrzówek, Klasztor w Łągiwnikach).

Pow. Chrzanowski. Ogród w Krzeszowicach. Bóbrka (księż. Ogińskiej). Zbiorowa wystawa owoców (Rudawa, Paczółtowice, Jaworzno, Kwaczała, S. Müller z Czatkowic).

Pow. wadowicki. a) Kolektywna wystawa »Tow. Ogrodniczego w Wadowicach«.

b) Głębowice (Stanisław Dunin).

c) Inwałd (hr. Romerowa).

Pow. Bocheński. a) Bochnia. Dyr. Różański.

b) Sylwester Panczakiewicz w Bochni.

c) Ksiądz Dr. Dutkiewicz w Żegocinie koło Bochni.

d) Żerosławice. Kaz. Bzowski. (Wina owocowe).

e) Ujście Solne.

Powiat Wielicki. Czasław. Prof. Dr. O. Bujwid.

- Pow. Krośnieński.* Bóbrki. Bolesław Stańkowski.
- Pow. Nowosądecki.* I. Zaremba. Wielogłowy.
- Pow. Rzeszowski.* I. Turek z Białej. Wystawa zbiorowa. (Marya Pałka. — Anna Piekiełek. — Wiktorya Szwed).
- Pow. Kolbuszowski.* Werynia. Natalia hr. Tyszkiewiczowa.
- Pow. Tarnowski.* Franciszek Regec. Janowice. (Powidła śliwkowe).
- Stryjsko-żydaczowski oddział galic. Tow. gospodarczego.* Julian bar. Brunicki, Podhorce (szkółki handlowe drzew i krzew owocowych).
Włodzimierz Barański. Łukawica.
Tymoteusz Mandybur, kraj. radca szkolny. Korczyna.
Gmina Balice Podgórne. (Fasole z uprawy polnej).
- Pow. Zaleszczycki.* Zbiorowa wystawa z powiatu (baron Brunicki, Ziembicki, Kosmopolski, Wartanowicz, Siemiginowski, Gembalecki).
- Pow. Nadwórniański.* C. k. zarząd lasów i dóbr w Nadwórnej. Janelli. (Wina owocowe).
- Pow. Kamionka Strumiłowa.* Ohładów. Wystawa zbiorowa.
- Pow. Tarnopolski.* Mikulińce. Julian Bucewicz.
- Powiat Sokalski.* Szmitków. Ksiądz Romuald Mosiewicz. (Nadto Teodor Chmielnik i St. hr. Plater-Zyberg).
- Pow. Złoczowski.* Janarów. Józef Dykacz.
Olesko. Maryan J. Dąbrowski.
- Pow. Buczacki.* Rzepińce. Anna hr. Wolańska.
Barysz. Stan. Farurej Szawłowski.
- Powiat Kaluski.* Kałusz. Ignacy Przystalski.
Krasna. C. k. zarząd lasów i dóbr skarbowych.
- Pow. Staro-Samborski.* Surzyca wielka. Witoszyński.
- Pow. Husiatyński.* Czarohóńce. Malankiewicz.
(Winogrona).
- Powiat Rudzki.* Chłopy (Komarno). Bazyli Syniów.
- Pow. Kołomyjski.* Kolektywna wystawa z Kołomyi.
- Powiat Sanocki.* Jaćmierz Hodur.
- Pow. Brzeżański.* Brzeżany. B. Wizimirski.
Tuchów. Bolesław Miajtus (Wina owocowe).
Domaradz. Karol Wojnarowski. (Wina jabłkowe).
- Pow. Czortkowski.* Zwiniach. Fr. Rawicz Mysłowski (Jabłecznik).
Sobolówka. Tad. Noël. (Wina).
Lubaczów. Gnoiński. (Wina jabłkowe).
Lubaczów. Biesiadecki. (Słoneczniki).
Cieszanów. Jan Gnoiński.
Pistyń. Zbiorowa wystawa owoców. Teod. Burczak.
Hotyszyn. Kraj. szkoła koszykarska.
Rudki. Krajowa szkoła koszykarska.



Gabryela Zapolska.

racyi kościoła, ona, aby oddać się w spokoju, twórczości literackiej. Niewątpliwie wyjdzie to na korzyść talentowi autorki »Tamtego«, belletrystyka polska wzbogaci się szeregiem nowych utworów, zawsze interesujących i silnych w kolorycie.

Z różnych stron.

GABRYELA ZAPOLSKA.

Dziennikarska praca jest jako kierat; gdy raz kogo pochwyli w swe potężne tryby, nie wypuści go z nich tak rychło. Ciężka, codzienna, gorączkowa robota przy biurku dziennikarskiem — ileż to ona talentów literackich wyczerpała już i skrzywiła! — Znakomita autorka Gabryela Zapolska, która od dłuższego czasu stała w przednim szeregu pracowitej drużyny dziennikarskiej we Lwowie, ustępuje jednak z posterunku zajmowanego w redakcyi »Słowa Polskiego«, aby poślubić znanego art. malarza St. Janowskiego.

Hymen okazał się tedy silniejszym od Mołocha, któremu imię gazeta. Pp. Janowscy przenoszą się w Nowo sądeckie na dłuższy pobyt; on, aby wykonać większe prace około restauracyi kościoła,

Kedyw u Szczepanika. Piszą nam z Wiednia: »Będzie temu dwa tygodnie, jak portyer Société Szczepanik & Co. wpadł zadyszany do biur i zameldował: Przyjechał detektyw z Egiptu! Zdumieni spoglądali wszyscy na przejętego ważnością słów swoich pocziwca. Była to zapowiedziana urzędownie wizyta kedywa w atelier Szczepanika. Orowadzano go i demonstrowano przed nim rozmaite przyrządy. Badał on bardzo starannie pancierz kulotrwały i zażądał cennika na kamizelkę, uniform i płaszcz. Gdy przechodzono koło caloridulów, przyrządów do oszczędzania węgla przy kotłach parowych, inżynier oprowadzający zauważył: to są przyrządy dla fabryk, te nie będą Waszej Wysokości zajmować. »Za pozwoleniem — odparł kedyw, który jako wychowanek Theresianum mówi biegle po niemiecku — mnie wszystko obchodzi...« A gdy usłyszał, że te przyrządy działają automatycznie i oszczędzają do 20%

węgla, rzekł: »A widzicie panowie, że to mnie ogromnie obchodzi, ja jestem w Kairze i w Aleksandryi wielkim przemysłowcem, mam fabryki...« Po upływie kilkunastu dni nadeszło z gabinetu kedywa zamówienie na trzy takie przyrządy, z żądaniem natychmiastowego wysłania (wraz z monterem) do Kairu. Gabinet kedywa koresponduje oczywiście po francusku. Société Szczepanik & Co. zwróciła się do firmy L. Zieleniewski w Krakowie, żeby te trzy aparaty swojego wyrobu i swojego montera wysłała.

Amazonki. Piszą nam z Londynu: To żadna bajka, żaden wymysł Fredry ani Arystofanesa, ale najprawdziwsza prawda, rzeczywistość, z którą każdy podróżnik zapoznać się może. Mało kto o tem dotąd wiedział, więc bliższe szczegóły teraz ogłoszone, wielkie robią wrażenie. Posłuchajcie: Oto w Anglii, w zapadłym kącie Gouth Pembroshire, leży włoska Langum. Słynie ona z hodowli ostróg, a niemniej słynąć będzie ze swojej konstytucji, która polega na tem, że rządzą tam wyłącznie i niepodzielnie kobiety. Są to istne amazonki, z tą różnicą od owych bajecznych, że mają mężów — niewolników. Ludność ta jest sobie osobliwą rasą, ma swoje osobliwe prawa, wyklucza, nie dopuszcza obcych i pogardza nimi, nie troszczy się zgoła o świat po za swojemi granicami. Rząd nie miesza się zgoła, bo to ludność pracowita, spokojna i porządne płaci

podatki. Mężczyzna nigdy tam nie był panem rządzącym, ani głową rodziny, we wszystkim znać udzielną władztwo kobiet. Na wybrzeżach pokrytych żwirem, zajmują się one spuszczeniem i osadzaniem łodzi, one żeglują i zarabiają na życie. Kobieta prowadzi dom i wyznacza mężowi jego dzienne zajęcie. W gospodach widać tylko kobiety przy piwie lub winie, są to n. p. Anna Palmera, Sarah Morgana, Rebeka Pruscotta. Nie ma tam zgoła mody, tylko tradycyjny ubiór, który malowniczo stroi roste, silne Langumianki. Noszą suknie flanelowe, dziwaczne



Start w rozgrywce biegu 10 kilom. Oddziału »Sokoła« w Krakowie 22 września 18901.



Ćwiczenia straży ochotniczej w Kamionce Strumiłowej 26 września 1901.

(Zdjęcie amat. p. Zdzisława Zawalkiewicza).

kapelusze bobrowe lub filcowe, grube pończochy, ciężmy drewniane i zawsze kosz na ramieniu przez plecy. Są to niezmiordowane pracownice, ale też i harde. Pięć i oczy mają jasne, rysy regularne, członki silne, muskularne, chodzą prosto i dumnie. Najszanowniejsze osobistości w Langum są: matrona, pani domu i kupcowa ryb i ostryg. Kupcowe obnoszą swój towar, zdaleka słysząc odgłos ich ciężym; w każdym domu je z uszanowaniem przyjmują. Na noc wracają one zawsze mimo słyty na swoje

łodzie. Wogóle kobiety cały dzień są na wolnym powietrzu poza domem zajęte. Słynie Langum ze spokoju, zgody, z wesołości i ze zdrowia. — No i czy to nie dobrze? Niebawem zaczynają turyści — gdy raz ten porządek na jaw wyszedł — oraz wszelakie feministki i emancypantki do Langum pielgrzymować, żeby się zapoznać z tem Dorado i będą tam mężczyźni brać na spytki. Oby tylko Europejczycy ciekawi i przewrotni nie zakłócili stosunków w tej Arkadyi.

SPORT.

Wyścigi jesienne Oddziału Kolarskiego Tow. gimn. „Sokół” w Krakowie.

(Ilustracja na str. 81).

Wyścigi O. K. S. K. odbyły się na szosie mogińskiej w niedzielę, dnia 22 h. m. przy pięknej pogodzie, wobec niezliczonych tłumów tak sportsmenów, jak i profanów.

Wyścigi rozpoczęły I. Bieg o mistrzostwo O. K. S. K. 1901 na 30 km. Nagroda: złoty medal i szarfa mistrza pierwszemu, m. srebrny wielki drugiemu. Nadto II. kapitan O. K. ofiarował zdobny portfel pierwszemu, jeśli pobije dotychczasowy rekord 61 min. 12 sek. Do mety przybyli: Krakowski w czasie 60 m. 55⁴/₅ s. — I; Kowalski L. 71 m. 45 s. — 2. Mistrz więc na r. 1901/2 p. Krakowski pobit dotychczasowy rekord o 16 m. ¹/₅ s., osiągnąwszy tym sposobem przeznaczoną nagrodę honorową.

II. Bieg ogólny na 10 klm. Stanęło 4. Weiss przybył w czasie 21 m. — 1. Dutkiewicz Leop. 21 m. 30 s. — 2. Maryan (pseud.) 21 m. 31 s. — 3.

III. Bieg starszych, powyżej 30 lat na 5 klm. — 1. — Dutkiewicz Jan 10 m. 2. — Kuczmierczyk. 3. — Bekner.

Nagrody dla II. i III. biegu stanowiły medale srebrne i brązowe.

Droga, wiodąca do Mogiły roita się od tłumów piechurów, doróżek, a przedewszystkiem rowerów, tandemów, no i nawet samochodów, które to ostatnie, mówiąc bez nawiasu, reprezentował jedyny w Krakowie »elektro-wóz« pana R. Przeszkód dla cyklistów większych nie było, prócz szalonego ścisku gawiedzi i mnóstwa wozów, dążących w obydwóch kierunkach po szosie mogińskiej. Wyścigi odbyły się również bez wypadku, z wszelką ścisłością, dzięki znanej energii prezesa O. K. S. K. p. Radonia i obydwóch kapitanów jazdy pp. Skazy i Eberta.

W tydzień po tych wyścigach odbyły się wyścigi krakowskiego klubu młodzieży cyklistów. Fotografję jednego ze startów i wynik biegów podamy w następnym numerze.

Mjđ.

II. Sport kartkowy.

Ojczyzną ilustrowanych kart korespondencyjnych są, zdaje się, Niemcy. Pierwszy zdobył się na pomysł ozdabiania korespondentek rycinami niejaki Schwarz, księgarz w Oldenburgu, który uczestnicząc w wojnie francusko-niemieckiej, przesyłał znajomym swoim kartki z pola bitwy, umieszczając

na nich zręcznie ołówkiem rysowane sytuacje z potyczek lub też z odbywanych (po zwycięstwie!?) w połowych namiotach libacji. Wystawa wszechświatowa wiedeńska w r. 1873 uraczyła też zwiedzające ją osoby wydaną »oficyjalną« kartą z widokiem kolosalnego pawilonu „Rotundy“. Odtąd pojawiały się w większych miastach, jak np. Monachium, Berlin, Zurych, Lipsk — pamiątkowe obrazkowe kartki; pierwszą »fabrykę« ilustrowanych pocztówek założył w r. 1875 niejaki Miesler, litograf w Berlinie. Dziś mamy przeszło 1000 fabryk kart z roczną produkcją 500 milionów sztuk. W Austrii, a specjalnie w Galicyi, dopiero od trzech lat zaczął się ten nowy przemysł kartkowy rozpowszechniać — i jest obecnie w pełnym rozkwicie. Dominujące miejsce między wydawcami należy się księgarzowi Altenbergowi we Lwowie, który reprodukował na kartkach obrazki z życia wiejskiego polskiego, a ostatnio w światłodrukach wydał seryę głów kobiecych Axentowicza. Niemniej też firma »Salon malarzy polskich« zajęła się gorliwie wydawnictwem polskich widokówek, bądź to w światłodruku, bądź też w guście autochromii, lub też w akwarelach, jak np. przepiękne miniaturowe widoki malarza Tondosa. Niemojewski w Lwowie, Schiller w Stanisławowie i Schiller w Czerniowcach zajęli się też osobliwie zaopatrywaniem polskich amatorów sportu kartkowego wyrobami krajowymi, polskimi. Wystawy kart, odbyte niedawno w Krakowie i Warszawie, dały najlepszy pogląd na teraźniejszy postęp w polskim przemyśle kartkoobrazowym. Polskie towarzystwo miłośników sportu filokartkowego »Wawel« w Krakowie, założone w r. 1899, starało się przez swych członków, jak też i artykułami w swoim fachowym organie propagować podtrzymywanie własnego, krajowego, polskiego przemysłu kartkowego, ale, niestety tak »Wawel« jak i jego organ znikły niebawem z widnokręgu — z powodu niedostatecznego poparcia... Mały skutek odniosły też artykuły propagacyjne autora niniejszego sprawozdania — w »Gazecie handl.-geograf.« i innych polskich czasopismach. »Swego nie znacie — cudze chwalicie«... I na tem polu wspólna akcja przeciw wszystkim, co jest zagraniczne, ołce, jest potrzebna!

[(R. K. Grac.)

Nieco o myśliwych i polowaniu.

Nareszcie nadszedł czas, w którym »zając śledzi pod miedzą, a myśliwi o nim nie wiedzą«, czas, od którego właściwie sezon polowań się rozpoczyna. Do broni zatem, wy wszyscy, których ciągnie szerokie pole i knieja — zacznijcie liczyć wasze strzały i... pudła. Czy jednak sezon dopisze? Oto pytanie tkwiące stale co roku w głowie myśliwego w Galicyi, bo polowanie, które poza naszym krajem stanowi odrębną

gałąź gospodarstwa, przynoszącą często kroć stałe i poważne zyski, u nas z małym bardzo wyjątkiem leży zupełnie odłogiem i traktowane bywa jako »pańska« zabawa. A jednak przy racjonalnem prowadzeniu, odpowiedniemi zakładaniami remiz dla zwierzyny itd. mógłby nasz typowo rolniczy kraj, mieć dosyć zwierzyny, nawet na eksport.

Ustawa łowiecka najnowsza wprowadziła dużo przepisów w rozlicznych swych paragrafach, a jednak do dziś dnia najczęstsze są polowania, na których w 8 do 12 strzelb przy 20 ludziach nagonki, pada 8 do 12 zajęcy i to sans ariere pensé, bez pudła.

Przyczyną tego wielka ilość szkodników, lisów, wron a nawet, a raczej w znacznej mierze kochanych naszych boćków. Oj te bociany, te bociany — nie dość, że często ludzi zupełnie niepotrzebnie nawiedzają, ale nawiedzają także kuropatwy i zajęce. Dość zdjąć w lecie gniazdo bocianie z drzewa lub strzechy i policzyć w nim pośmierne szczątki młodych szaraków. O tej stronie charakteru bociana mało wie szeroka publiczność, Brehm jednak o niej mówi dokładnie. Dziwna to rzecz, żeby ptak, którego budowa zupełnie cech drapieżnika nie wykazuje — był takim szkodnikiem. Poza Galicyą, na Śląsku już i na Morawach, tępią bociany właśnie dla tej ich skłonności do młodych zajęcy, u nas jednak chronione tradycją całemi gromadami spokojnie po błotach i łąkach spacerują.

Bociany — to jedna z przyczyn braku zwierzyny, a to nie koniec szeregu szkodników zaczynających się od lisa a kończących się na — kłusowniku i t. zw. »sonntagsjägerze«. Ten ostatni rodzaj myśliwych wyginął już zupełnie (przynajmniej formalnie), bo ustawa łowiecka nie zezwala na polowania w niedzielę i święta — lecz jakże szeroko rozwinęło się kłusownictwo, któremu proch bezdymny i słabszy huk wydający, ogromną oddał przysługę. Dużoby o tem pisać można, a jednak mimo tych wszystkich braków z dobrą miną wyjeżdżamy na polowanie, strzelamy, pudlujemy, bo to »rzecz łowiecka« — jesteśmy poważnie strzelcami a nie myśliwymi i idziem naprzód, a trąbka myśliwska gra nam wesoło: »halali! był las nie było nas — nie będzie nas, będzie las«. Co tam remizy, panie dobrodziej — kiedyś był zeszej zimy w jasielskiem, tom panie dobrodziej rogaćca panie dobrodziej... *Eska.*

Z galerii mistrzów polskich.



L. Wyczółkowski: „Stary Góral“.



St. Witkiewicz: „Wiatr halny“.

Redakcja »Ilustracyi Polskiej« uprasza nas o umieszczenie następujących notatek :

Redakcja „Ilustracyi Polskiej“

przypomina p. t. autorom

Konkurs na nowelę

o 1000—1500 wierszy druku. Termin do nadsyłania prac kończy się 5-go grudnia. Rękopisy winny być czytelne, nadesłane bezimiennie, oznaczone godłem. W zamkniętej kopercie, załączonej do rękopisu, a zaopatrzonej w tosame godło, mieścić się winno nazwisko i adres autora.

Nagrody **200 koron i 80 koron.** Sąd konkursowy: A. Potocki, Z. Sarnecki, Rudolf Starzewski, K. Tetmajer, St. Wypiański i redaktor »Ilustracyi Polskiej«.

Konkurs fotograficzny „Ilustracyi Polskiej“.

Konkurs »Ilustracyi« na fotografię amatorską wielkie wśród amatorów obudził zainteresowanie. Na liczne zapytania, dotyczące się warunków konkursu, odpowiadamy, 1. że fotografie można nadsyłać w dowolnej ilości, 2. że wybór przedmiotu pozostawiony jest w zupełności uznaniu p. t. amatorów, 3. że fotografie będą na żądanie skrupulatnie zwrócone.

Sąd konkursowy: Prof. Axentowicz, Prof. J. Stanisławski, Prof. Dr. Fr. Bylicki, prof. Roman Zawiliński. Nagroda pierwsza: koron 30, cztery następne: dzieła wartościowe.

Cenniejsze prace będą reprodukowane.

Z nadesłanych prac redakcja »Ilustracyi« urządzi wystawę, o której niebawem bliższe podane będą wiadomości.

Premium „Ilustracyi Polskiej“.

Do numeru 4 dołączamy dla półrocznych i rocznych abonentów cykl przepysznych kolorowych drzeworytów Czesława B. Jankowskiego pt.: Z Bretanii:

**Królewna fal
Skała nad morzem
Wyspa
Widziadło**

Dotychczasowi abonenci kwartalni, którzy już obecnie przesła prenumeratę na II. kwartał, którzy zatem zapłacą prenumeratę półroczną, otrzymają również całe premium.



Pytlasiński, najlepszy atleta polski.

Abonentom kwartalnym, którzy na Nowy Rok zaabonują pismo na dalsze dwa kwartały, pošlemy premium na N. Rok.

Abonenci kwartalni, pragnący korzystać z naszego premium, winni uiszczać za nią należność w kwocie 80 hal. (ewent. w markach pocztowych).

Nakładem Redakcyi »Głosu Narodu«.

Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

Największa w Austro-Węgrzech fabryka tutek cygaretowych Rudolfa Herliczki w Krakowie poleca swoje znakomite wyroby. ===== Wszędzie do nabycia.